TEATR NARODOWY

ZAŁOŻONY W ROKU 1765

JAN
KOCHANOWSKI

TRENY

Prapremiera
16 maja 1979

zego chcesz od nas, Panie, za Twe
[hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszytko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
Wdzięcznym Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo nad to przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tyś pan wszytkiego świata, Tyś niebo zbudował
I złotymi gwiazdami ślicznieś uhaftował;
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi.

Za Twoim rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi;
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają.
Biały dzień, a noc ciemna swoje czasy znają.

Nagrobek Kochanowskiego w kościele w Zwoleniu.

Tobie k'woli rozliczne kwiatki Wiosna rodzi,
Tobie k'woli w kłosianym wieńcu Lato chodzi.
Wino Jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potym do gotowego gnuśna Zima wstawa.

Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie;
Z Twoich rąk wszelkie źwierzę patrza swej żyw-
[ności,
A Ty każdego żywisz z Twej szczodrobliwości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi;
Jedno zawżdy niech będziem pod skrzydłami Twemi!

JAN KOCHANOWSKI
Pieśń XXV

wieku XVI, a zwłaszcza w drugiej jego połowie, pojawili się we wszystkich krajach Europy wielcy poeci, którzy niebawem odebrali filologom wpływy w dziedzinie naukowej i pociągnęli ku sobie wszystkie umysły. Po Camoënsie i Ronsardzie, zrodzonych w jednym roku, 1524, w osiem lat później przyszedł na świat Kochanowski, niedługo potem pojawili się Tasso i Cervantes, wreszcie w jakieś dwadzieścia lat później Szekspir, który zamyka szereg średniowiekowy. Każde pięciolecie tej połowy wieku zaznacza się wielkim imieniem i wielkim przełomowym dziełem.

Z utworów jego najbardziej zajmujący jako dzieło oryginalne jest niezaprzeczenie cykl T r e n ó w, ułożonych po śmierci dziecka. Nie znajdziemy nic podobnego w literaturze żadnego kraju. (Kochanowski) przybiera ton najprostszej, najtreściwszej prozy, która przez to staje się najwyższą poezją.

ADAM MICKIEWICZ
Literatura słowiańska
Wykład XXXV

ubiłem lipę, co nad sławnym Janem
Cień rozstrzelony zbierała pod siebie
I co rok miodu obdarzała dzbanem
Niewymyślnego w żądzach i w potrzebie,
Co była drugim poety mieszkaniem,
Głośna słowików — szpaków narzekaniem.

Pod którą nieraz błyszczał dzban na stole,
Co tak wysoko niosła czoła wianki,
Jakby ze dworu wyglądała w pole
Na przyjazd pana lub pańskiej kochanki,
Co nad szmerami słodkich ust dziewicy
Szumiała cicho, pełna tajemnicy...

JULIUSZ SŁOWACKI
Podróż do Ziemi Świętej z Neapolu

rzeba było być duchem, pokorą i pracą,
I siłą, i nicością — trudem, nie lada co —
Żeby ów polski Język nie opłonął naraz,
Lecz jak twierdza zupełna, jak obronny taras,
Ruś — Litwę — Prusy objął. Zarówno w Siewierzu,
Jak w Królewcu wybrzmiewał albo w Sandomierzu,
Gminny, sielski, uczony — kmiecy i królewski —
Ten kasztelański Jana język Czarnoleski.
Język, który na Sądzie popiołów zawoła:
„Uwity jestem z nerwów skrwawionych Anioła
I sądzę was od stopy do włosa, bo jestem
Wszystkich was — razem duchem i moralnym
[chrzestem"!

CYPRIAN NORWID
Rzecz o wolności słowa

URSZULA KOCHANOWSKA

Gdy po śmierci w niebiosów przybyłam pustkowie,
Bóg długo patrzał na mnie i głaskał po głowie.

„Zbliż się do mnie, Urszulo! Poglądasz, jak żywa...
Zrobię dla cię, co zechcesz, byś była szczęśliwa."

„Zrób tak, Boże — szepnęłam — by w nieb Twoich [krasie
Wszystko było tak samo, jak tam — w Czarnola- [sie!" —

I umilkłam zlękniona i oczy unoszę,
By zbadać, czy się gniewa, że Go o to proszę?

Uśmiechnął się i skinął — i wnet z Bożej łaski
Powstał dom kubek w kubek, jak nasz — Czarno- [laski.

I sprzęty i donice rozkwitłego ziela
Tak podobne, aż oczom straszno od wesela!

I rzekł: „Oto są — sprzęty, a oto — donice.
Tylko patrzeć, jak przyjdą stęsknieni rodzice!

I ja, gdy gwiazdy do snu poukładam w niebie,
Nieraz do drzwi zapukam, by odwiedzić ciebie!"

I odszedł, a ja zaraz krzątam się, jak mogę
Więc nakrywam do stołu, omiatam podłogę —

I w suknię najróżowszą ciało przyoblekam
I sen wieczny odpędzam — i czuwam — i czekam...

Już świt pierwszą roznietą złoci się po ścianie,
Gdy właśnie słychać kroki i do drzwi pukanie...

Więc zrywam się i biegnę! Wiatr po niebie dzwoni!
Serce w piersi zamiera... Nie!... To — Bóg, nie oni!...

BOLESŁAW LEŚMIAN

Karol Irzykowski

NURT UCZUCIA W „TRENACH"

W gimnazjum za moich czasów uczyliśmy się *Trenów* na pamięć. Kosztowny, lecz dobry sposób pedagogiczny, aby podniecić ucznia do wysmakowania „walorów" wyrażeniowych zawartych w utworze. Na ogół przyjmowaliśmy ten przymus z poddaniem się jako jeszcze jedną piłę szkolną, ale, pomimo zasadniczo wrogiego nastawienia wobec sugestii profesorskich, tym razem w poufnych kółkach stwierdzaliśmy, że się nauka opłaca, że „są tam ładne rzeczy", a nawet „bardzo ładne". Dotyczyło to zwłaszcza niektórych ustępów, gdzie rytm w szczęśliwy sposób potężnieje i łączy się z treścią, gdzie pojawiają się efekty przypadkowe, jak np. „ani mi teraz łacno dowiadać się o tym, Jaka mię z płaczu mego czeka cześć na potym", gdzie potrójne twarde „cz" wzmaga autoironię. Następnie różne niezwykłe powiedzenia o sprawach pieszczoty lub śmierci, jak „gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest", „nieznajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy", „kłosie mój jedyny" — dalej ustępy, zawierające bezpośrednią alokucję do zmarłej i w ogóle wszystkie z wokatiwem: „O prawo krzywdy pełne, o znikomych cieni Sroga, nieubłagana, nieużyta ksieni!" Ksieni — przemawiała do wyobraźni bardziej niż Prozerpina.

Mimo to całość wydawała się zbyt poczciwa, uczona, nawet nudna — końcowy morał chrześcijański, który profesor (Steiner) aż zanadto podkreślał, działał na nas niby specjalnie przez Kochanowskiego na utrapienie szkolarzy przyrządzona szykana pedagogiczna. Banalności i trywial-

ności wyczuwaliśmy wszystkie te, które i dziś są nimi: już to myśli i motywy zbyt pospolite, już to niepotrzebne powtarzanie lub uzupełnianie wątków i tak dosyć pełnych. Natomiast podobały się wszystkie ustępy wypełnione szczegółami realistycznymi, zwłaszcza sławny *Tren* VII, ten który naśladował Ujejski w *andante* swego *Marsza pogrzebowego*.

Dzisiaj dawny uczeń spróbował sprawdzić swoje niegdysiejsze wrażenia, tym razem uzbrojony już w nowoczesne i doskonałe komentarze. Profesorzy Sinko, Windakiewicz, St. Łempicki — i inni, których jednak nie czytałem — zbadali *Treny* wszerz i wzdłuż, umiejscowili na tle wieku, wykazali wpływy, ustalili przebieg akcji wewnętrznej i ocenili pod względem artystycznym zupełnie sprawiedliwie, ani nie skąpiąc, ani nie przeceniając, tak że każdy z zupełnym zaufaniem może ich wyniki wziąć za podstawę do własnych rozmyślań. A człowiek dojrzały nie zadowoli się już stwierdzeniem drugorzędnych piękności utworu ani nie wystarczą mu perspektywy historycznoliterackie, które dyktują ten sąd względny, że jak na swoje czasy Kochanowski osiągnął szczyt bardzo wysoki; będzie się starał czytać ten utwór jakby dziś napisany i wyczuć jego nurt wewnętrzny, przy czym gotowy aparat filologiczny pomoże mu ożywić miejsca, które się dziś wydają martwe czy banalne.

Kochanowski ożenił się mając lat 45, a więc w wieku stosunkowo późnym. Życie jego poprzednie było dosyć urozmaicone — starczyłoby dzisiejszemu autorowi na cztery powieści — bo i w Padwie był, gdzie miłostkę wziął tak poważnie, że miał aż myśli samobójcze, był i w Paryżu, a w Polsce służył u dworu i zajmował się polityką. Ale pomimo talentu poetyckiego był z typu raczej uczonym niż przygodziarzem. „W co się praca i twoje obróciły lata, Któreś ty niemal wszystkie strawił nad księgami, Mało się bawiąc świata tego zabawami?" — mówi do niego matka we śnie w trenie ostatnim. Charakterystyczne są morały, jakie prawił swej kochance w Padwie, i jego skąpstwo wobec niej (patrz dziełko prof. Windakiewicza). Mimo to jego erotyzm, zdaje się, był bardzo silny — tak silny jak pociąg do solidności, niemal, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, do filisterstwa. Ciekawy jest szczegół, że kiedy biskup Myszkowski zatrzymywał go zbyt długo w gościnie, Kochanowski, stęskniony do żony, wypraszał się wierszykiem.

Kiedy Urszulka umierała, Kochanowski miał lat 49. Prawie że mógłby być jej dziadkiem. Możliwe jest, że jego uczucie nigdy w życiu nie było dobrze zaspokojone i z największą siłą ogarnęło tę pierwszą córkę.* Nie trzeba tego rozumieć aż na sposób freudowski, sprawa była prosta. W wieku młodszym byłby Kochanowski o wiele łatwiej swój ból przezwyciężył niż wtedy, gdy w postaci Urszulki niejako wróciła mu młodość.

Lecz w ogóle nie wiemy, kim była Urszulka. Żyje ona w *Trenach*, lecz zarazem jest jakby przykryta indywidualnością ojca. Dawny pogląd na tę istotę, która niby biały demon przemknęła się przez dni poety, aby z jego piersi wydobyć klejnot, dawny pogląd, że była zjawiskiem nadzwyczajnym, pogląd, który znalazł wyraz np. w powieści Hoffmanowej, ustąpił z czasem miejsca lekceważeniu. Komentatorzy twierdzą, że Kochanowski mocno przesadzał, że tę przesadę dyktował mu konwenans poetycki, zawarty we wzorach starożytnych. Wykazują sprzeczności: najpierw autor mówi, że składała piosenki, rymowała, a w ostatnim, że „jeszcze słów nie domawiała", co by dowodziło nawet dość normalnego rozwoju, zważywszy, że Urszulka zmarła mając półtrzecia roku. Ale może miała talent muzyczny, który często rozwija się najprędzej, a fascynuje otoczenie najbardziej? Chętkę rymowania mógł jej podsunąć sam ojciec, aktorską chętkę naśladowania osób — matka. Może Kochanowski, przesadzając, chciał tylko sprostać tej bujnej rzeczywistości w naturze Urszulki, której określić nie potrafił. Trzeba by właściwie zasięgnąć opinii pedagogów co do tego, jakie się w praktyce trafiają przykłady genialności dziecięcych, i wyszukać wśród nich typ odpowiadający Urszulce. Nasuwa się też podejrzenie, czy ojciec, który w początku z upodobaniem przegląda się w zaletach córki jak w zwierciadle, potwierdzającym jego własną wartość — później w pochwałach nie popełnia pewnego nietaktu, gdy redukuje ją do typu tzw. grzecznego, wzorowego dziecka (*Tren* XII). Postępuje jak kochanek, któ-

ry usiłuje sobie kochankę wyperswadować — co się objawia zwłaszcza w trenie ostatnim.

W szkole uważało się ten tren wydźwiękowy za poddanie się woli Bożej, za triumf myśli chrześcijańskiej i za rekonwalescencję. Czy nie przedwczesną? Normalny czytelnik nie może się oprzeć wrażeniu, że uczucie, które z początku strzelało płomieniami, przygasa i popada w degrengoladę. Oschły wydaje się ten najdłuższy tren w swej praktyczności pocieszeniowej. Jest on tak długi, gdyż poeta zapewne coraz to coś nowego tu dopisywał. Odrzucona przez prof. Sinkę hipoteza, jakoby *Treny* były dziennikiem duszy poety, ma jednak pewną wartość heurystyczną. Jest w *Trenach* dużo trafnych spostrzeżeń psychologicznych, chociaż często wyrażonych w taki sposób, że brzmią jak komunały. Trzeba jednak rozcieplić te komunały i te sofizmaty, aby się zmieniły na powrót w łzy. Wtedy tren ostatni okaże się tym, czym jest — gwałtownym wysiłkiem „instynktu samozachowawczego" (wyrażenie prof. St. Łempickiego). Człowiek tak jest stworzony — podsuwa sobie poeta — że szkoda więcej go boli od wszelkiej korzyści. Żal przewyższa o wiele uciechę, jaką z niej miałem. Pozostaje mi jako doktór jedyny — czas. I tu dodaje poeta, że czas ma „fortel", bo klin klinem wybija. Ale już sama myśl o czasie jest lecznicza — rozumem należy uprzedzić czas (w. 148), antycypować jego działanie.

I Coué, nauczyciel autosugestii, inaczej by tego nie pomyślał i nie wyraził. „Fortel" — słowo dość kompromitujące wobec majestatu żałości. A jednak użycie go świadczy o tym, że było co dławić, że sączyło się jeszcze zatrute źródło, które trzeba było zasypać argumentami. Gdy to zważymy, rzekoma prozaiczność owego trenu objawi się nam w innym świetle. Jest on może mniej artystyczny niż inne, ale za to bardziej dokumentarny. Nurt uczucia sięga jeszcze i tutaj.

Nieszczęście Kochanowskiego było może większe, niż zdołał wyrazić. W jego poemacie na każdym kroku znać pasowanie się z formą, ze swą erudycją, z konwenansami literackimi i nawet towarzyskimi! Tak samo w swoich wzorach literackich jak w zwyczajach współczesnych spotykał się z tą sprzecznością poglądów, że wolno i trzeba płakać po stracie, ale nie zanadto. Starożytni pisali przecież epicedia i epitafia na cześć zmarłych, ale też i wymyślili stoicyzm. Słusznie więc zauważa prof. Windakiewicz, że w spokojnym życiu Kochanowskiego śmierć Urszulki była piorunem, „zburzyła od razu jego ideowe i materialne bezpieczeństwo i po prostu grunt mu pod nogami poderwała", Kochanowski wyraża to plastycznym zwrotem: „na to mnie przygoda gwałtem wbiła", nasuwając obraz okrętu wbitego na skałę. W utworze swoim zrazu jakby pysznił się swoim bólem, pozuje — nie byłby artystą — a później jakby się wstydził i usprawiedliwiał. Prześladuje go poczucie sztuczności, poczucie tego, co my nazywamy „literaturą", odgania od siebie myśl o sławie. Krępują go też względy religijne. Gdy Ujejski w swoim *Marszu* pozwala sobie na okrzyk: „On — zły!", Kochanowski raz tylko mówi, że Bóg szydzi, a zresztą Boga chrześcijańskiego woli zastępować bogami pogańskimi.

Pogański, klasyczny aparat wyobrażeń w *Trenach* — to znów osobny rozdział. Krępuje on poetę, ale zarazem i pomaga mu. Dobrze mówi prof. Sinko, że „co u poetów rzymskich było formułką, to u Kochanowskiego staje się formą pełną żywej treści". Biorę to w tym znaczeniu, że wyobrażenia starożytnych u Kochanowskiego niejako reaktualizują się, odzyskują swój sens realny, jako hipotezy kosmiczne. Mitologia Greków i Rzymian, tak obfita w wiadomości z zaświata, przemawia żywiej do wyobraźni niż wiara katolicka ze swym piekłem, czyśćcem i niebem. O sprawach zaświata nikt nie wie dotychczas nic i Charon (w *Trenie* X) może być czymś rzeczywistym. Mit o Orfeuszu i Eurydyce, którym się posługuje Kochanowski, narzucał mu się niejako siłą rzeczy; był przymusem wyobraźni, wyrażał pewien sposób szamotania się zrozpaczonej duszy. Więc wprawdzie można się zgodzić na sąd prof. Sinki, że w *Trenie* XIV zaznacza się „osłabienie polotu", że jest to „kompozycja czysto literacka", lecz nurt uczucia i tędy się wije, choć jest głębiej ukryty.

Tło kulturalne, na którym komentatorzy umieścili *Treny*, ma deseń bardzo urozmaicony. Jeden mówi, że ten utwór

jest „zerwaniem z dotychczasowymi poglądami humanistycznymi" i „publicznym przyznaniem się poety do religijności i chrystianizmu" (prof. Windakiewicz, to samo prof. Chrzanowski); drugi, że właśnie zgłębieniem humanizmu, ponieważ zawiera tę ideę, że „ludzkie przygody trzeba znosić po ludzku" (prof. Łempicki). Wszyscy zaś wskazują na „polemikę" z Cyceronem, zawartą w *Trenie* XVI, gdzie Kochanowski wytyka „Arpinowi wymownemu", że czynów swoich nie pogodził ze swymi słowami: napisał piękne księgi o stoicyzmie, a jednak płakał za zmarłą córką i zląkł się śmierci z ręki Antoniusza. Kochanowski ma tu wydrwić rzymskiego stoika jako „frazesowicza". A jednak ważniejsza od tej polemiki jest równoczesna solidarność polskiego ojca z ojcem rzymskim i jak gdyby uznanie konieczności niekonsekwencyj w chwilach cierpienia. (Niektórzy psychologowie wszelki ból, nawet fizyczny, uważają za rozterkę duszy, za niemożność dokonania pewnych skojarzeń dochodzącą do szału — stąd płynie szansa stoicyzmu). Prof. St. Łempicki dodaje ostrożnie, że w końcu Kochanowski powraca przecież do stoicyzmu — jest to „oryginalny neostoicyzm Odrodzenia, godzący fatalizm Seneki z dogmatem katolickim". Według zaś naszej analizy *Trenu* XIX mamy tam do czynienia jakby z systemem perswazyjnych i psychotechnicznych „forteli" (co jest może równoznaczne ze stoicyzmem).

Tak się wahają interpretacje i dlatego trzeba sobie uprzytomnić, że przecież humanizm, jak renesans i romantyzm, to są pojęcia szerokie tworzone *ex post* dla zjawisk zbiorowych — podczas gdy w takich utworach jak *Treny*, na frontach zupełnie indywidualnych, bezprecedensowych i jakby wywiadowczych, dopiero rozgrywają się bitwy o przyszłe ukształtowanie się stosunku człowieka do potęg poza nim i w nim samym. Każda artystyczna zdobycz takiej bitwy karmi i wzbogaca następne pokolenia w opanowywaniu tych potęg. Ale bitwy te nie są zakończone; rozgrywają się coraz to na nowych frontach, nieustannie. Dzisiaj np. obserwujemy w upodobaniach duchowych nowego społeczeństwa stoicyzm nowego autoramentu, stoicyzm amerykański, powojenny, utylitarno-antytragiczny, taki, który lekceważy cierpienia duchowe, lecz równocześnie je też wymija *(happy end)*. Ojciec, który by tak bolał jak Kochanowski, mógłby zostać wyśmiany jako człowiek dziecinny, przeczulony, przesadny.

Do niedawna jednak panowała inna konstelacja duchowa i to właśnie jak gdyby według motywów napoczętych przez Kochanowskiego. Uczeni wymieniają jako jego kontynuatorów zwykle Mickiewicza i Słowackiego (*Ojciec zadżumionych*), zapominają o Krasińskim (Orcio z *Nieboskiej*). Ale przypomnijmy jeszcze z epoki nam bliższej dla porównania np. Daniłowskiego *Z minionych dni* (kult żony dla zmarłego męża), zwłaszcza zaś wilcze doły w powieściach Żeromskiego, który dla całego pokolenia był nauczycielem cierpienia. (...)

Od czasów Kochanowskiego ciekawość nieszczęścia stała się większa, żądza łączności ze zmarłym silniejsza; serce nie ucieka od bólu, lecz szuka go, nastawia na nim nie tłumik, lecz amplifikator, chce podjąć ciężar nad siły. W intencji, choć może nie w praktyce, jest to objaw nie słabości, lecz siły, odwagi, ryzyka — jest to szukanie przygód duchowych.

Życie powojenne tak się uzewnętrzniło, że zapomnieliśmy o tych niektórych przesłankach literatury poprzedniego okresu. Rocznica Kochanowskiego może nam je przypomnieć. Uznać musimy, że sprawa *Trenów* i ich najgłębszej oceny ideowej (a przez to i artystycznej — przecież!) jest otwarta, nie załatwiona, że walka o te kryteria trwa jeszcze, że się nawet w ostatnich czasach przesiliła, może na niekorzyść autora *Trenów*. *Panta rei!*

Karol Irzykowski
„Wiadomości Literackie" 1930, nr 23

---

* Jadwiga Rytel w książce „Jan Kochanowski" (W-wa 1967 Wiedza Powszechna) informuje, że zmarła w 1579 roku Urszulka była drugą z kolei córką poety.

Myślę, że na dnie wszystkich naszych arcydzieł narodowych tkwi płacz poety. W „Beniowskim" przeziera przez maskę ironii i śmiech, w „Panu Tadeuszu" czai się w sielskich pejzażach, w dworkach polskich, zapadających się w niebyt. Słychać go wyraźnie w buntowniczym sarkazmie „Dziadów" i w ciszy, która zapada nagle we wrzawie „Wesela".

Ale jest i pogoda w pierwszym polskim płaczu naszej poezji, w „Trenach" Kochanowskiego. Myślę, że ta trudna pogoda, która wydobywa się z lamentu poety jest istotną treścią, jest głównym tonem „Trenów". To dla niej, można sądzić, opublikował nam te wiersze poeta. Może po to, żeby dziś, po czterystu latach, były i nam pomocne w chwilach, których los nie przestanie nam nigdy skąpić.

H. Czudkiny

Ilustracje do programu zaczerpnięte zostały z książki Eugène'a Müntza HISTOIRE DE L'ART PENDANT LA RENAISSANCE. T. 2: ITALIE. L'AGE D'OR. Paris 1891.

Wydawca
TEATR NARODOWY

Redakcja
EWA RYMKIEWICZ

Opracowanie graficzne
ZBIGNIEW CELIŃSKI

Cena zł 13.—

WDA — Zakład Typograficzny. Zam. 4222. Nakł. 5.000. C-87

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

TEATR NARODOWY

założony w roku 1765

ADAM
HANUSZKIEWICZ

przedstawia

JANA KOCHANOWSKIEGO

TRENY

Występują:

IRENA EICHLERÓWNA

ADAM HANUSZKIEWICZ

ANNA CHODAKOWSKA, MAŁGORZATA ZAJĄCZKOWSKA, EMILIAN KAMIŃSKI, ANDRZEJ MALEC, ANDRZEJ PIECZYŃSKI

oraz

BOŻENA KOCIOŁKOWSKA
solistka Teatru Wielkiego

i uczniowie Państwowej Szkoły Baletowej
w układzie choreograficznym
HANNY CHOJNACKIEJ

Scenografia
ZOFIA de INES-LEWCZUK

Asystent reżysera
TAMARA TATERA

Muzyka
ANDRZEJ BIEŻAN

Kierownictwo muzyczne
JACEK SOBIESKI

Utwory Benedetto Marcellego, Antonio Vivaldiego,
w nagraniu Orkiestry Kameralnej Filharmonii Narodowej
pod dyrekcją *Karola Teutscha*

Pieśń Wacława z Szamotuł w nagraniu chóru
pod dyrekcją *Romualda Miazgi*

Improwizacja do „Trenu VII" oraz wiersza
Bolesława Leśmiana „Do siostry" *Andrzej Pieczyński*

Instrumentaliści *Elżbieta Tabernacka* flet,
Ryszard Bałuszko gitara i lutnia

W spektaklu wykorzystano „Do snu" i „Epitafium"
Jana Kochanowskiego oraz dwa wiersze Bolesława Leśmiana
„Urszula Kochanowska" i „Do siostry"

Kierownictwo techniczne: Leon Tyszuk, Zbigniew Markowski

Brygadier sceny — Stanisław Kuszczyk
Inspicjent — Franciszek Gołąb

Oświetlenie — Tomasz Płodowski
Dźwięk — Anna Pawluk

Rekwizytornia — Jerzy Kawałek
Malarnia — Jerzy Batorowski
Stolarnia — Zbigniew Zagurowski
Modelatornia — Henryk Nizler
Pracownia krawiecka damska — Grażyna Szczecińska
Pracownia krawiecka męska — Jan Mrówczyński
Perukarnia — Leszek Galian
Tapicernia — Ryszard Kubicki
Warsztat szewski — Józef Jasiński
Ślusarnia — Wiesław Jaworski
Farbiarnia — Henryk Kotte

Biuro Obsługi Widzów — Jadwiga Walewska
Tel. 26-54-81 wew. 42 lub 23 oraz 27-06-23,
po godz. 16 tel. 26-54-83 (kasa Teatru Narodowego)

•

Dyrektor i Kierownik Artystyczny
ADAM HANUSZKIEWICZ

Zastępca Dyrektora
BOGDAN MICHALSKI

Cena zł 2.—

WDA — Zakład Typograficzny. Zam. 4403. Nakł. 10.000. C-82

Jan Kochanowski

TRENY

Jan Kochanowski

TRENY

Teatr
Narodowy

Warszawa, 1979 r.

JAN KOCHANOWSKI
Nagrobek w kościele w Zwoleniu.

TREN I

Wszytki płacze, wszytki łzy Heraklitowe
I lamenty, i skargi Simonidowe,
Wszytki troski na świecie, wszytki wzdychania
I żale, i frasunki, i rąk łamania,
Wszytki a wszytki za raz w dom się mój noście,
A mnie płakać mej wdzięcznej dziewki pomoście,
Z którą mię niepobożna śmierć rozdzieliła
I wszytkich moich pociech nagle zbawiła.
Tak więc smok, upatrzywszy gniazdo kryjome,
Słowiczki liche zbiera, a swe łakome
Gardło pasie; tym czasem matka szczebiece
Uboga, a na zbójcę co raz sie miece,
Prózno! bo i na samę okrutnik zmierza,
A ta nieboga ledwe umyka pierza.
„Prózno płakać" — podobno drudzy rzeczecie.
Cóż, prze Bóg żywy, nie jest prózno na świecie?
Wszystko prózno! Macamy, gdzie miękcej w rzeczy,
A ono wszędy ciśnie. Błąd — wiek człowieczy!
Nie wiem, co lżej: czy w smutku jawnie żałować,
Czyli sie z przyrodzeniem gwałtem mocować?

TREN II

Jeslim kiedy nad dziećmi piórko miał zabawić,
A k'woli temu wieku lekkie rymy stawić,
Bodajże bych był raczej kolebkę kołysał
I z drugimi nieważne mamkom pieśni pisał,
Którymi by dziecinki noworodne spiły
I swoich wychowańców lamenty toliły!
Takie fraszki mnie zbierać pożyteczniej było,
Niżli, w co mię nieszczeście moje dziś wprawiło,
Płakać nad głuchym grobem mej wdzięcznej dziew-
[czyny
I skarżyć się na srogość ciężkiej Prozerpiny.
Alem użyć w obojgu jednakiej wolności
Nie mógł: owom ominął, jako w dordzałości
Dowcipu coś ranego; na to mię przygoda
Gwałtem wbiła i moja nie nagrodna szkoda.
Ani mi teraz łacno dowiadać sie o tym,
Jaka mię z płaczu mego czeka cześć na potym.
Nie chciałem żywym śpiewać, dziś umarłym muszę,
A cudzej śmierci płacząc, sam swe kości suszę.
Próżno to! Jakie szczeście ludzi naszladuje,
Tak w nas albo dobrą myśl, albo złą sprawuje.
O prawo krzywdy pełne! O znikomych cieni
Sroga, nieubłagana, nieużyta ksieni!
Tak li moja Orszula, jeszcze żyć na świecie
Nie umiawszy, musiała w ranym umrzeć lecie?
I nie napatrzawszy sie jasności słonecznej
Poszła nieboga widzieć krajów nocy wiecznej.
A bodaj ani była świata oglądała!
Co bowiem więcej, jedno ród a śmierć poznała?
A miasto pociech, które winna z czasem była
Rodzicom swym, w ciężkim je smutku zostawiła.

TREN III

Wzgardziłaś mną, dziedziczko moja ucieszona.
Zdałać się ojca twego barziej uszczuplona
Ojczyzna, niżlibyś ty przestać na niej miała.
To prawda, żeby była nigdy nie zrownała
Z ranym rozumem twoim, z pięknymi przymioty,
Z których sie już znaczyły twoje przyszłe cnoty.
O słowa! o zabawo! o wdzięczne ukłony!
Jakożem ja dziś po was wielce zasmęcony!
A ty, pociecho moja, już mi sie nie wrócisz
Na wieki ani mojej tesknice okrócisz.
Nie lza, nie lza, jedno sie za tobą gotować
A stopeczkami twymi ciebie naszladować.
Tam cię ujźrzę, da Pan Bóg, a ty więc drogimi
Rzuć sie ojcu do szyje ręczynkami swymi.

TREN IV

Zgwałciłaś, niepobożna śmierci, oczy moje,
Żem widział umierając miłe dziecię swoje.
Widziałem, kiedyś trzęsła owoc niedordzały,
A rodzicom nieszczesnym serca sie krajały.
Nigdyć by ona była bez wielkiej żałości
Mojej umrzeć nie mogła, nigdy bez ciężkości
I serdecznego bolu, w którymkolwiek lecie
Mnie by smutnego była odbiegła na świecie;
Alem ja już z jej śmierci nigdy żałościwszy,
Nigdy smutniejszy nie mógł być ani teskliwszy.
A ona (by był Bóg chciał) dłuższym wiekiem swoim
Siła pociech przymnożyć mogła oczom moim.
A przynamniej tym czasem mogłem był odprawić
Wiek swój i Persefonie ostatniej sie stawić,
Nie uczuwszy na sercu tak wielkiej żałości,
Której równia nie widzę w tej tu śmiertelności.
Nie dziwuję Nijobie, że na martwe ciała
Swoich namilszych dziatek patrząc skamieniała.

TREN V

Jako oliwka mała pod wysokim sadem
Idzie z ziemie ku górze macierzyńskim szladem,
Jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc,
Sama tylko dopiro szczupłym prątkiem wschodząc:
Tę jesli, ostre ciernie lub rodne pokrzywy
Uprzątając, sadownik podciął ukwapliwy,
Mdleje za raz, a zbywszy siły przyrodzonej,
Upada przed nogami matki ulubionej.
Tak ci sie mej namilszej Orszuli dostało:
Przed oczyma rodziców swoich rostąc, mało
Od ziemie sie co wzniózwszy, duchem zaraźliwym
Srogiej śmierci otchniona, rodzicom troskliwym
U nóg martwa upadła. O zła Persefono,
Mogłażeś tak wielu łzam dać upłynąć płono?

TREN VI

Ucieszna moja śpiewaczko! Safo słowieńska!
Na którą nie tylko moja cząstka ziemieńska,
Ale i lutnia dziedzicznym prawem spaść miała.
Tęś nadzieję już po sobie okazowała,
Nowe piosnki sobie tworząc, nie zamykając
Ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając,
Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym
Całą noc prześpiewa gardłkiem swym ucieszonym.
Prędkoś mi nazbyt umilkła. Nagle cię sroga
Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotko droga.
Nie nasyciłaś mych uszu swymi piosnkami,
I tę trochę teraz płacę sowicie łzami.
A tyś ani umierając śpiewać przestała,
Lecz matkę, ucałowawszy, takeś żegnała:
„Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasiędę;
Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać".
To, i czego żal ojcowski nie da serdeczny
Przypominać więcej, był jej głos ostateczny.
A matce, słysząc żegnanie tak żałościwe,
Dobre serce, że od żalu zostało żywe.

TREN VII

Nieszczesne ochędóstwo, żałosne ubiory
Mojej namilszej cory,
Po co me smutne oczy za sobą ciągniecie?
Żalu mi przydajecie.
Już ona członeczków swych wami nie odzieje —
Nie masz, nie masz nadzieje!
Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany.
Już letniczek pisany
I uploteczki wniwecz, i paski złocone,
Matczyne dary płone.
Nie do takiej łóżnice, moja dziewko droga,
Miała cię mać uboga
Doprowadzić! Nie takąś dać obiecowała
Wyprawę, jakąć dała!
Giezłeczkoć tylko dała a lichą tkaneczkę;
Ociec ziemie bryłeczkę
W główki włożył. Niestetyż i posag, i ona
W jednej skrzynce zamkniona.

TREN VIII

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Orszulo, tym zniknienim swoim.
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było:
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.
Tyś za wszytki mówiła, za wszytki śpiewała,
Wszytkiś w domu kąciki zawżdy pobiegała.
Nie dopuściłaś nigdy matce sie frasować
Ani ojcu myśleniem zbytnim głowy psować,
To tego, to owego wdzięcznie obłapiając
I onym swym uciesznym śmiechem zabawiając.
Teraz wszytko umilkło, szczere pustki w domu,
Nie masz zabawki, nie masz rośmiać się nikomu.
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje.

TREN IX

Kupić by cię, Mądrości, za drogie pieniądze,
Która (jesli prawdziwie mienią) wszytki żądze,
Wszytki ludzkie frasunki umiesz wykorzenić,
A człowieka tylko nie w anioła odmienić,
Który nie wie, co boleść, frasunku nie czuje,
Złym przygodam nie podległ, strachom nie hołduje.
Ty wszytki rzeczy ludzkie masz za fraszkę sobie,
Jednaką myśl tak w szcześciu, jako i w żałobie
Zawżdy niesiesz. Ty śmierci namniej sie nie boisz,
Beśpieczn(a), nieodmienn(a), niepożyt(a) stoisz.
Ty bogactwa nie złotem, nie skarby wielkimi,
Ale dosytem mierzysz i przyrodzonymi
Potrzebami. Ty okiem swym nieuchronionym
Nędznika upatrujesz pod dachem złoconym,
A uboższym nie zajźrzysz szcześliwego mienia,
Kto by jedno chciał słuchać twego upomnienia.
Nieszcześliwy ja człowiek, którym lata swoje
Na tym strawił, żebych był ujźrzał progi twoje.
Terazem nagle z stopniów ostatnich zrzucony
I miedzy insze, jeden z wiela, policzony.

TREN X

Orszulo moja wdzięczna, gdzieś mi sie podziała?
W którą stronę, w którąś sie krainę udała?
Czyś ty nad wszystki nieba wysoko wniesiona
I tam w liczbę aniołków małych policzona?
Czyliś do raju wzięta? Czyliś na szcześliwe
Wyspy zaprowadzona? Czy cię przez teskliwe
Charon jeziora wiezie i napawa zdrojem
Niepomnym, że ty nie wiesz nic o płaczu mo(jem)?
Czy, człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze,
Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?
Czyli sie w czyścu czyścisz, jesli z strony ciała
Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?
Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwej była,
Niżeś sie na mą ciężką żałość urodziła?
Gdzieśkolwiek jest, jesliś jest, lituj mej żałości,
A nie możesz li w onej dawnej swej całości,
Pociesz mię, jako możesz, a staw sie przede mną
Lubo snem, lubo cieniem, lub marą nikczemną!

TREN XI

„Fraszka cnota!" — powiedział Brutus porażony.
Fraszka, kto sie przypatrzy, fraszka z każdej strony!
Kogo kiedy pobożność jego ratowała?
Kogo dobroć przypadku złego uchowała?
Nieznajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy,
Nie mając ani dobrych, ani złych na pieczy.
Kędy jego duch wienie, żaden nie ulęże;
Praw li, krzyw li, bez braku każdego dosięże.
A my rozumy swoje przedsię udać chcemy,
Hardzi miedzy prostaki, że nic nie umiemy.
Wspinamy sie do nieba, Boże tajemnice
Upatrując; ale wzrok śmiertelnej źrzenice
Tępy na to! Sny lekkie, sny płoche nas bawią,
Które sie nam podobno nigdy nie wyjawią.
Żałości! co mi czynisz? Owa już oboje
Mam stracić: i pociechę, i baczenie swoje?

TREN XII

Żaden ociec podobno barziej nie miłował
Dziecięcia, żaden barziej nad mię nie żałował!
A też ledwie sie kiedy dziecię urodziło,
Co by łaski rodziców swych tak godne było.
Ochędożne, posłuszne, karne, nie pieszczone,
Śpiewać, mówić, rymować jako co uczone;
Każdego ukłon trafić, wyrazić postawę,
Obyczaje panieńskie umieć i zabawę;
Roztropne, obyczajne, ludzkie, nierzewniwe,
Dobrowolne, układne, skromne i wstydliwe.
Nigdy ona po ranu karmie nie wspomniała,
Aż pierwej Bogu swoje modlitwy oddała.
Nie poszła spać, aż pierwej matkę pozdrowiła
I zdrowie rodziców swych Bogu poruczyła.
Zawżdy przeciwko ojcu wszytki przebyć progi,
Zawżdy sie uradować i przywitać z drogi,
Każdej roboty pomoc, do każdej posługi
Uprzedzić było wszytki rodziców sw(y)ch sługi.
A to w tak małym wieku sobie poczynała,
Że więcej nad trzydzieści miesięcy nie miała.
Tak wiele cnót jej młodość i takich dzielności
Nie mogła znieść; upadła od swej(że) bujności,
Żniwa nie doczekawszy. Kłosie mój jedyny,
Jeszcześ mi sie był nie zstał, a ja twej godziny
Nie czekając, znowu cię w smutną ziemię sieję.
Ale po społu z tobą grzebę i nadzieję,
Bo już nigdy nie wznidziesz ani przed mojema
Wiekom wiecznie zakwitniesz smutnymi ocz(e)ma.

TREN XIII

Moja wdzięczna Orszulo, bodaj ty mnie była
Albo nie umierała lub sie nie rodziła!
Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim
Za tym nieodpowiednim pożegnanim twoim.
Omyliłaś mię jako nocny sen znikomy,
Który wielkością złota cieszy zmysł łakomy,
Potym nagle uciecze, a temu na jawi
Z onych skarbów jeno chęć a żądzą zostawi.
Takeś ty mnie, Orszulo droga, uczyniła:
Wielkieś nadzieje w moim sercu roznieciła,
Potymeś mię smutnego nagle odbieżała
I wszytki moje z sobą pociechy zabrała.
Wzięłaś mi, zgoła mówiąc, dusze połowicę;
Ostatek przy mnie został na wieczną tesknicę.
Tu mi kamień, murarze, ciosany połóżcie,
A na nim tę nieszczesną pamiątkę wydróżcie:
„Orszula Kochanowska tu leży, kochanie
Ojcowe, albo raczej płacz i narzekanie.
Opakeś to, niebaczna śmierci, udziałała:
Nie jać onej, ale mnie ona płakać miała".

TREN XIV

Gdzie te wrota nieszczesne, którymi przed laty
Puszczał sie w ziemie Orfeus szukając swej straty?
Żebych ja też tąż ścieżką swej namilszej córy
Poszedł szukać i on bród mógł przebyć, przez który
Srogi jakiś przewoźnik wozi blade cienie
I w lasy niewesołe cyprysowe żenie.
A ty mię nie zostawaj, wdzięczna lutni moja,
Ale ze mną po społu pódź aż do pokoja
Surowego Plutona! Owa go (to) łzami,
To tymi żałosnymi zmiękczywa pieśniami,
Że mi moję namilszą dziewkę jeszcze wróci,
A ten nie uśmierzony we mnie żal ukróci.
Zginąć ci mu nie może; tuć sie wszystkim zostać,
Niech sie tylko niedoszłej jagodzie da dostać.
Gdzie by też tak kamienne ten Bóg serce nosił,
Żeby tam smutny człowiek już nic nie uprosił!
Cóż temu rzec? Więc tamże już za jedną drogą
Zostać, a z duszą za raz zewlec troskę srogą.

TREN XV

Erato złotowłosa i ty, wdzięczna lutni,
Skąd pociechę w swych troskach biorą ludzie smutni!
Uspokójcie na chwilę strapioną myśl moję,
Póki jeszcze kamienny w polu słup nie stoję,
Lejąc ledwe nie krwawy płacz przez marmór żywy,
Żalu ciężkiego pamięć i znak nieszczęśliwy.
Mylę sie? czyli, patrząc na ludzkie przygody,
Skromniej człowiek uważa i swe własne szkody?
Nieszczesna matko (jesli przyczytać możemy
Nieszcześciu, co prze głupi rozum swój cierpiemy),
Gdzie teraz twych siedm' synów i dziewek tak wiele?
Gdzie pociecha? gdzie radość? i twoje wesele?
Widzę czternaście mogił, a ty, nieszcześliwa
I podobno tak długo nad wolą swą żywa,
Obłapiasz zimne groby, w których (ach, niebogo!)
Składłaś dziateczki swoje zagubione srogo!
Takie więc kwiaty leżą kosą podsieczone
Albo deszczem gwałtownym na ziemię złożone.
W którą nadzieję żywiesz? Czego czekasz więcej?
Czemu śmiercią żałości nie zbywasz co pręcej?
A wasze prętkie strzały albo łuk co czyni
Niepochybny, o Febe i mściwa bogini?
Albo z gniewu (bo winna), albo więc z lutości
Dokonajcie, prze Boga, jej biednej starości!
Nowa pomsta, nowa kaźń hardą myśl potkała:
Dziatek płacząc Nijobe sama skamieniała
I stoi na Sipylu marmór nie przetrwany,
Jednak i pod kamieniem żywią skryte rany.
Jej bowiem łzy serdeczne skałę przenikają
I przeźrzoczystym z gory strumieniem spadają,

Skąd źwierz i ptastwo pije; a ta w wiecznym pęcie
Tkwi w rogu skały wiatrom szalonym na wstręcie.
Ten grób nie jest na martwym, ten martwy nie w [grobie,
Ale samże jest martwym, samże grobem sobie.

TREN XVI

Nieszczęściu k'woli a swojej żałości,
Która mię prawie przejmuje do kości,
Lutnią i wdzięczny rym porzucić muszę,
Ledwe nie duszę.

Żyw-em? Czy mię sen obłudny frasuje?
Który kościanym oknem wylatuje,
A ludzkie myśli tym i owym bawi,
Co błąd na jawi.

O błędzie ludzki! O szalone dumy!
Jako to łacno pisać sie z rozumy,
Kiedy po wolej świat mamy, a głowa
Człowieku zdrowa.

W dostatku będąc, ubóstwo chwalemy,
W rozkoszy — żałość lekce szacujemy,
A póki wełny skąpej prządce zstaje,
Śmierć nam za jaje.

Lecz kiedy nędza albo żal przypadnie,
Ali żyć nie tak, jako mówić snadnie,
A śmierć dopiero w ten czas nam należy,
Gdy już k'nam bieży.

Przecz z płaczem idziesz, Arpinie wymowny,
Z miłej ojczyzny? Wszak nie Rzym budowny,
Ale świat wszystek Miastem jest mądremu
Widzeniu twemu.

Czemu tak barzo córki swej żałujesz?
Wszak sie ty tylko sromoty wiarujesz;
Insze wszelakie u ciebie przygody
Ledwe nie gody!

„Śmierć — mówisz — straszna tylko niezbożnemu".
Przeczże sie tobie umrzeć, cnotliwemu,
Nie chciało, kiedyś prze dotkliwą mowę
Miał podać głowę?

Wywiódłeś wszytkim, nie wywiódłeś sobie;
Łacniej rzec, widzę, niż czynić i tobie,
Pióro anielskie, duszę toż w przygodzie,
Co i mnie bodzie.

Człowiek nie kamień, a jako sie stawi
Fortuna, takich myśli nas nabawi.
Przeklęte szczeście! Czy snać gorzej duszy,
Kto rany ruszy?

Czasie, pożądnej ojcze niepamięci!
W co ani rozum, ani trafią święci,
Zgój smutne serce, a ten żal surowy
Wybij mi z głowy!

TREN XVII

Pańska ręka mię dotknęła,
Wszytkę mi radość odjęła:
Ledwie w sobie czuję duszę
I tę podobno dać muszę.

Lubo wstając gore jasnie,
Lubo padnąc słońce gasnie,
Mnie jednako serce boli,
A nigdy sie nie utoli.

Oczu nigdy nie osuszę
I tak wiecznie płakać muszę.
Muszę płakać! O mój Boże,
Kto sie przed Tobą skryć może?

Prózno morzem nie pływamy,
Prózno w bitwach nie bywamy:
Ugodzi nieszczeście wszędzie,
Choć podobieństwa nie będzie.

Wiódłem swój żywot tak skromnie,
Że ledwie kto wiedział o mnie,
A zazdrość i złe przygody
Nie miały mi w co dać szkody.

Lecz Pan, który, gdzie tknąć, widzi,
A z przestrogi ludzkiej szydzi,

Zadał mi raz tym znaczniejszy,
Czym-em już był bezpieczniejszy.

A rozum, który w swobodzie
Umiał mówić o przygodzie,
Dziś ledwe sam wie o sobie:
Tak mię podparł w mej chorobie.

Czasem by sie chciał poprawić,
A mnie ciężkiej troski zbawić,
Ale gdy siędzie na wadze,
Żalu ruszyć nie ma władze.

Prózne to ludzkie wywody,
Żeby szkodą nie zwać szkody;
A kto sie w nieszczęściu śmieje,
Ja bych tak rzekł, że szaleje.

Kto zaś na płacz lekkość wkłada,
Słyszę dobrze, co powiada;
Lecz sie tym żal nie hamuje,
Owszem, więtszy przystępuje.

Bo, mając zranioną duszę,
Rad i nierad płakać muszę,
Co snać nie cześć, to ku szkodzie
I zelżywość serce bodzie.

Lekarstwo to, prze Bóg żywy,
Ciężkie na umysł troskliwy!
Kto przyjaciel zdrowia mego,
Wynajdzi co wolniejszego!

A ja zatym łzy niech leję,
Bom stracił wszytkę nadzieję,
By mię rozum miał ratować,
Bóg sam mocen to hamować.

TREN XVIII

My, nieposłuszne, Panie, dzieci Twoje,
W szczęśliwe czasy swoje
Rzadko Cię wspominamy,
Tylko rozkoszy zwykłych używamy.

Nie baczym, że to z Twej łaski nam płynie,
A także prędko minie,
Kiedy po nas wdzięczności
Nie uznasz, Panie, za Twe życzliwości.

Miej nas na wodzy, niech nas nie rozpycha
Doczesna rozkosz licha!
Niechaj na Cię pomniemy
Przynamniej w kaźni, gdy w łasce nie chcemy!

Ale ojcowskim nas karz obyczajem,
Boć przed Twym gniewem stajem
Tak, jako śnieg niszczeje,
Kiedy mu słońce niebieskie dogrzeje.

Zgubisz nas prędko, wiekuisty Panie,
Jesli nad nami stanie
Twa ciężka Boska ręka;
Sama niełaska jest nam sroga męka.

Ale od wieku Twoja lutość słynie,
A pierwej świat zaginie,
Niż Ty wzgardzisz pokornym,
Chocia był długo przeciw Tobie spornym.

Wielkie przed Tobą są występy moje,
Lecz miłosierdzie Twoje
Przewyższa wszytki złości.
Użyj dziś, Panie, nade mną litości!

TREN XIX — ALBO SEN

Żałość moja długo w noc oczu mi nie dała
Zamknąć i zemdlonego upokoić ciała.
Ledwie mię na godzinę przed świtanim swymi
Sen leniwy obłapił skrzydły czarnawymi.
Na ten czas mi sie matka własnie ukazała,
A na ręku Orszulę maję wdzięczną miała,
Jaka więc po paciorek do mnie przychodziła,
Skoro z swego posłania rano sie ruszyła.
Giezłeczko białe na niej, włoski pokręcone,
Twarz rumiana, a oczy ku śmiechu skłonione.
Patrzę, co dalej będzie, aż matka tak rzecze:
„Spisz, Janie? czy cię żałość twoja zwykła piecze?"
Zatym-em ciężko westchnął i tak mi sie zdało,
Żem sie ocknął. — A ona, pomilczawszy mało,
Znowu mówić poczęła: „Twój nieutólony
Płacz, synu mój, przywiódł mię w te tu wasze strony
Z krain barzo dalekich, a łzy gorzkie twoje
Przeszły aż i umarłych tajemne pokoje.
Przyniosłam ci na ręku wdzięczną dziewkę twoję,
Abyś ją mógł oglądać jeszcze, a tę swoję
Serdeczną żałość ujął, która tak ujmuje
Sił twoich i tak zdrowie nieznacznie twe psuje,
Jako ogień suchy knot obraca w perzyny,
Darmo nie upuszczając namniejszej godziny.
Czyli nas już umarłe macie za stracone
I którym już na wieki słońce jest zgaszone?
A my, owszem, żywiemy żywot tym ważniejszy,
Czym nad to grube ciało duch jest ślachetniejszy.
Ziemia w ziemię sie wraca, a duch z nieba dany
Miałby zginąć ani na miejsca swe wezwany?
O to sie ty nie frasuj, a wierz niewątpliwie,
Że twoja namilejsza Orszuleczka żywie.
A tu więc takim ci sie kształtem ukazała,
Jakoby sie śmiertelnym oczom poznać dała.
Ale miedzy anioły i duchy wiecznymi
Jako wdzięczna jutrzenka świeci, a za swymi
Rodzicami sie modli, jako to umiała
Z wami będąc, choć jeszcze słów nie domawiała.
Jesliżeć też stąd roście żałość, że jej lata
Pierwej są przyłomione, niżli tego świata
Rozkoszy zażyć mogła? O biedne i płone
Rozkoszy wasze, które tak są usadzone,
Że w nich więcej frasunków i żałości więcej!
Czego ty doznać możesz sam z siebie napręcej!
Ucieszyłeś sie kiedy z dziewki swej tak wiele,
Żeby pociecha twoja i ono wesele
Mogło porownać z twoim dzisiejszym kłopotem?
Nie rzeczesz tego, widzę. Także trzymaj o tem,
Jakoś doznał, ani sie frasuj, że tak rana
Twojej ze wszech namilszej dziewce śmierć zesłana!
Nie od rozkoszyć poszła; poszłać od trudności,
Od pracej, od frasunków, od złez, od żałości,
Czego świat ma tak wiele, że by też co było
W tym docześnym żywocie człowieczeństwu miło,
Musi smak swój utracić prze wielkość przysady,
A przynamniej prze bojaźń nieuchronnej zdrady.
Czegóż płaczem, prze Boga? Czegóż nie zażyła?
Że sobie swym posagiem pana nie kupiła?
Że przegrozek i cudzych fuków nie słuchała?
Że boleści w rodzeniu dziatek nie uznała?
Ani umie powiedzieć, czego jej troskliwa
Matka doszła, co z więtszym utrapieniem bywa:
Czy je rodzić, czy je grześć? — Takieć pospolicie
Przysmaki wasze, czym wy sobie świat słodzicie!

W niebie szczere rozkoszy, a do tego wieczne,
Od wszelakiej przekazy wolne i bezpieczne.
Tu troski nie panują, tu pracej nie znają,
Tu nieszczeście, tu miejsca przygody nie mają,
Tu choroby nie najdzie, tu nie masz starości,
Tu śmierć łzami karmiona, nie ma już wolności.
Żyjem wiek nieprzeżyty, wiecznej używamy
Dobrej myśli, przyczyny wszytkich rzeczy znamy.
Słońce nam zawżdy świeci, dzień nigdy nie schodzi
Ani za sobą nocy nie widomej wodzi.
Twórcę wszech rzeczy widziem w Jego majestacie,
Czego wy, w ciele będąc, prózno upatrzacie.
Tu w czas obróć swe myśli, a chowaj sie na te
Nieodmienne, synu mój, rozkoszy bogate!
Doznałeś, co świat umie i jego kochanie;
Lepiej na czym ważniejszym zasadź swe staranie!
Dziewka twoja dobry los (możesz wierzyć) wzięła,
A własnie w swoich rzeczach sobie tak poczęła,
Jako gdy kto na morze nowo sie puściwszy,
A tam niebezpieczeństwo wielkie obaczywszy,
Woli nazad do brzegu. Drudzy, co podali
Żagle wiatrom, na ślepe skały powpadali;
Ten mrozem zwyciężony, ten od głodu zginął,
Rzadki, co by do brzegu na desce przypłynął.
Śmierci zniknąć nie mogła, by też dobrze była
Onę dawną Sybillę wiekiem swym przeżyła.
To, co miało być potym, uprzedzić wolała;
Tymże mniej tego świata niewczasów doznała.
Drugie po swych namilszych rodzicach zostają
I ciężkiego siroctwa nędzne doznawają.
Wypchną drugą za męża leda jako z domu,
A majętność zostanie, sam to Bóg wie komu.
Biorą drugie i gwałtem, a biorą i swoi,
Ale i w hordach część sie wielka ich zostoi,
Gdzie w niewoli pogańskiej i w służbie sromotnej
Łzy swe piją, czekając śmierci wszystkokrotnej.
Tego twej wdzięcznej dziewce bać sie już nie trzeba,
Która w swych młodych leciech wzięta jest do nieba
Żadnych frasunków tego świata nie doznawszy
Ani grzechem dusze swej drogiej pomazawszy.
Jej tedy rzeczy, synu (nie masz wątpliwości),
Dobrze poszły, ani stąd używaj żałości!
Swoje szkody tak szacuj i omyłki swoje,
Abyś nie przepamiętał, że baczenie twoje
I stateczność jest droższa! W tę bądź przedsię panem,
Jako sie kolwiek czujesz w pociechy obranem.
Człowiek urodziwszy sie zasiadł w prawie takim,
Że ma być jako celem przygodom wszelakim.
Z tego trudno sie zdzierać! Pocznimy, co chcemy,
Jesli po dobrej woli nie pójdziem, musi(e)my.
A co wszytkich jednako ciśnie, nie wiem, czemu
Tobie ma być, synu mój, naciężej jednemu?
Śmiertelna, jako i ty, twoja dziewka była:
Póki jej zamierzony kres był, poty żyła.
Krótko wprawdzie! ale w tym człowiek nic nie włada,
A wyrzec też, co lepiej, niełacno przypada.
Skryte są Pańskie sądy; co sie Jemu zdało
Nalepiej, żeby sie też i nam podobało.
Łzy w tej mierze niepłatne; gdy raz dusza ciała
Odbieży, prózno czekać, by sie wrócić miała.
Ale człowiek nie zda sie praw szcześciu w tej mierze,
Że szkody pospolicie tylko przed sie bierze,
A tego baczyć nie chce ani mieć w pamięci,
Co mu też czasem padnie wedle jego chęci.
Tać jest władza Fortuny, mój namilszy synie,
Że nie tak uskarżać sie, kiedy nam co zginie,
Jako dziękować trzeba, że wżdam co zostało,
Bo to wszytko nieszczeście w ręku swoich miało.

A tak i ty, folgując prawu powszechnemu,
Zagródź drogę do serca upadkowi swemu,
A w to patrzaj, co uszło ręku złej przygody;
Zyskiem człowiek zwać musi, w czym nie popadł [szkody.
Na koniec, w co sie on koszt i ona utrata,
W co sie praca i twoje obróciły lata,
Któreś ty niemal wszystkie strawił nad księgami,
Mało sie bawiąc świata tego zabawami?
Teraz by owoc zbierać swojego szczepienia
I ratować w zachwianiu mdłego przyrodzenia!
Cieszyłeś przed tym insze w takiejże przygodzie:
I będziesz w cudzej czulszy niżli w swojej szkodzie?
Teraz, mistrzu, sam sie lecz! Czas doktór każdemu.
Ale kto pospolitym torem gardzi, temu
Tak poznego lekarstwa czekać nie przystoi!
Rozumem ma uprzedzić, co insze czas goi.
A czas co ma za fortel? Dawniejsze świeżymi
Przypadkami wybija, czasem weselszymi,
Czasem też z tejże miary; co człowiek z baczeniem
Pierwej, niż przyjdzie, widzi i takim myśleniem
Przeszłych rzeczy nie wściąga, przyszłych upatruje
I serce na oboję fortunę gotuje.
Tego sie, synu, trzymaj, a ludzkie przygody
Ludzkie noś! Jeden jest Pan smutku i nagrody".
Tu zniknęła. — Jam sie też ocknął. — Aczciem prawie
Niepewien, jeslim przez sen słuchał czy na jawie.

Tekst trenów wg: Kochanowski Jan: Treny. Oprac. J. Pelc. Wrocław 1978. Zakł. Nar. Ossol. Biblioteka Narodowa. Seria I nr 1. Na obwolucie reprodukcja „Le silence" Johanna Heinricha Füsslego.

Wydawca
TEATR NARODOWY

Redakcja
EWA RYMKIEWICZ

Opracowanie graficzne
ZBIGNIEW CELIŃSKI

Cena zł. 10.—

WDA — Zakład Typograficzny. Zam. 4221. Nakład 10.000. C-87

[illegible]